

Marcin Koziół

OPERACJA „RYSIEK”

– Idzie. Rozumiesz?! Masz się schować! – powiedziała cicho, ale stanowczo, zamykając za sobą drzwi przedziału.

Rysiek jednak nie rozumiał. Albo nie chciał rozumieć. Wcale nie miał zamiaru rezygnować z wygodnej miejscówki na składanym stoliku pod oknem, skąd mógł podziwiać zmieniający się krajobraz.

– Zachowuj się! Przed taką akcją nie potrzebujemy kłopotów, Ryszardzie – pouczył go Karol. – Nawet biletu nie masz.

Rysiek do gadatliwych nie należał. Kiwnął tylko głową na zgodę, świsnął ogonem i w końcu schował się w kieszeni mojej pomarańczowej kurtki.

– Marta, ogon mu wystaje! – zauważył Karol, ale do przedziału wpakował się już konduktor.

Wypisz, wymaluj – Pan Kuleczka z bajek. Dobrze pamiętałam tę postać z dzieciństwa. Łysa głowa, z wyjątkiem dwóch jasnych szczecinek nad uszami. Wielki czerwony nos przyklejony do różowej okrągłej twarzy. Brakowało tylko muchy. No i mundur psuł efekt. Ale te niedociągnięcia rekompensował serdeczny uśmiech.

– O, młodzi państwo. Dzień dobry. Bilety do kontroli proszę...

Karol wyciągnął telefon i pokazał kod, który otrzymał mailem. Trochę to Panu Kuleczce zajęło, żeby go zeskanować i sprawdzić ważność biletu. Wykorzystałam ten moment i wepchnęłam do kieszeni wystającą z niej różową końcówkę ogona.

– W porządku. A teraz panią poproszę o bilet... – Konduktor przyjrzał mi się malutkimi rozbieganymi oczami. Zupełnie jakby patrzył nimi na wylot i wszystko nimi skanował. Nawet bilety elektroniczne. A czytnika używał tylko dla niepoznaki.

– Proszę bardzo. – Podałam bilet i nawet się uśmiechnęłam. Miło mi się zrobiło, że nazwał mnie „panią”. To pewnie dlatego, że po wakacjach idę już do szóstej klasy.

Konduktor przyjrzał się biletowi i zapytał z troską:

– Wakacje dopiero za tydzień. A państwo już na obóz jadą? Rodzice wiedzą? – Prześwilił wzrokiem dwa plecaki, które wcisnęliśmy na półki pod sufitem. To był sprzęt potrzebny do naszej operacji.

Czy rodzice wiedzą? Jasne, że nie. Moja mama trzęsie się o mnie, jakbym była z bibuły i wystarczył podmuch wiatru, by mnie zmieść z tej planety. A to nie o mnie powinna się martwić, ale o Ziemię. Bo jak jej nie pomożemy, to natura sama się nas pozbędzie. Mnie również. Mama martwi się o planetę, ale na segregowaniu śmierci i sadzeniu iglaków w ogródku ten zapał się kończy. A tu trzeba działać. I to już!

Na szczęście poznałam Karola.

Karol jest starszy ode mnie. O cały rok i dwa miesiące. I jest bardzo mądry. I odważny. Poznaliśmy się w kole przyjaciół przyrody u Kulawego.

Naprawdę nazywa się Kulawik, ale nie tylko uczniowie, ale nawet on sam lubi używać swojej ksywki. – Słuchajcie Kulawego, a dobrze na tym wyjdziecie – powtarza w żartach. To nasz nauczyciel biologii. Miły człowiek. Uratował z tuzin bezdomnych kotów i przygarnął kilka psów. A na dodatek mieszkają u niego dwa szczury – Bonnie i Clyde. Jak ta para zakochanych gangsterów sprzed stu lat. „Bo nie mogą bez siebie wytrzymać ani chwili. I to niezłe łobuziaki – psom i kotom podkradają jedzenie”, tłumaczył.

Zawsze bałam się szczurów. Ale tylko dlatego, że znałam je tylko z filmów i książek. Kiedy poznałam Bonniego i Clyde’a, przekonałam się, że szczury nie muszą być niebezpieczne. To bardzo inteligentne i towarzyskie zwierzęta.

Kulawy doradził mi, bym tak jak on zaadoptowała szczurka z fundacji. Z fundacji?! Zdziwiłam się. Słyszałam o tym, że są fundacje, które dają schronienie psom, kotom, a nawet koniom i szukają dla nich dobrych domów. Ale szczurom?! „Ktoś ocalił je z tarapatów, a może nawet uratował przed śmiercią. Teraz ktoś inny może dać im dom”, powiedział i podsunął wizytówkę z adresem.

Nie było łatwo, ale rodzice dali się przekonać i razem odwiedziliśmy fundację. Tak oto poznałam Ryśka. Tego Ryśka, który niecierpliwi się teraz w mojej kieszeni...

Szczur Ryszard we wszystkim chce mi towarzyszyć. Kiedy wybieram się na spacer, jego szósty zmysł podpowiada mu, by wpakować się do mojej kieszeni. Albo do plecaka. Za nic w świecie nie da się stamtąd zabrać. Tak bardzo jest do mnie przywiązany. A może tak jak ja lubi przygody!

Kulawy ucieszył się, że adoptowałam Ryśka. „Troszcząc się o zwierzęta, dbasz o przyrodę”, powiedział z uznaniem dla mojej decyzji. Ale żeby ocalić Ziemię, trzeba czegoś więcej...

Dlatego Karol zorganizował własny klub przyrodniczy.

Nazwał go Organizacją ML-EKO. Mieliśmy rozpocząć ekologiczną rewolucję – dlatego „eko”. A ML? „Bo przyszłość jest w rękach młodych ludzi”, tłumaczył. A może tak mu pasowało do wymyślonej wcześniej nazwy. W szkole o ML-EKU nie rozmawiamy. Kto powinien wiedzieć, ten wie. Rodzicie, Kulawy i inni nauczyciele nie muszą, bo za bardzo się o nas wszystkich boją.

Na początku Karol działał sam. Śledził ludzi, którzy wyrzucali śmieci do lasu i nagrywał ich albo robił relacje na żywo na Instagramie. Zdobył sporo obserwujących, ale nie pokazywał swojej twarzy, więc nie wiedziałam, że to on. W końcu zdradził mi, czym się zajmuje. I wtedy do niego dołączyłam. A potem wtajemniczyliśmy jeszcze kilka osób.

Tak powstało ML-EKO. Teraz działamy głównie na Tik-Toku. Bo nasi rówieśnicy rzadko już zagląдают na Fejsa. Chyba że muszą podlizać się nauczycielowi i dać mu lajka. Ale Tik-Tok to co innego.

– Jedziecie na obóz? – niecierpliwił się Pan Kuleczka.

Jaki obóz? Karol miał plan na naprawdę dużą operację. O tej wycieczce na Podlasie nie wiedział nikt oprócz nas. Rodzicom powiedzieliśmy, że jedziemy na lekcję w plenerze z Kulawym. Łyknęli to jak bocian żabę. Konduktorowi też powinno to wystarczyć.

– Wycieczka klubu przyrodniczego. Spóźniliśmy się na pociąg, w którym są nasi koledzy i nauczyciel. Kupiliśmy więc bilety na kolejny – zmyślałam, chociaż nie lubię kłamać. Ale chodziło przecież o większą sprawę. O coś dobrego dla wszystkich. Tylko ci wszyscy nie zawsze rozumieją, co dla nich dobre. Byliśmy przekonani, że jesteśmy od nich mądrzejsi.

– W takim razie miłej podróży życzę. – Raz jeszcze podejrzliwe oczy Pana Kuleczki skontrolowały przedział. Wreszcie obrócił się w stronę wąskiego korytarza. Zanim jednak ostatni kawałeczek Pana Kuleczki wytoczył się z przedziału, dało się jeszcze słyszeć mamrotanie: – Wypuście w końcu tego szczura i dajcie mu coś do picia, bo ledwo dyszy.

Spojrzałam na swoją kieszeń. Wystawała z niej głowa Ryszarda. Szczur szczyrzył zęby. Wyglądało na to, że śmieje się jak głupi do radamera.

– Upiekło nam się – skwitował Karol i pogłaskał szczura po łebku, a ten, mrużąc oczy, poprosił o więcej pieśczoł.

Pan Kuleczka okazał się bardziej wyrozumiały, niż mogliśmy przypuszczać. Co prawda szczur nie potrzebuje biletu, ale powinien podróżować w klatce, a nie w mojej kieszeni. Jednak ja jestem wrogiem

klatek. Karol też. A skoro Karol tak uważa, to oboje nie możemy się mylić. On naprawdę jest wyjątkowy. „Bardzo mądry chłopak”, jak mówią nauczyciele. I mamy moich koleżanek go chwalać. Mojej też pewnie by się spodobał, ale jeszcze jej o nim nie mówiłam. Wolałam na razie naszą znajomość zachować tylko dla siebie.

Podobam mu się. Skąd wiem? To proste. Powiedział mi. I to jak! Ni z tego, ni z owego wypalił, że jest chory. Oczywiście się przeraziłam. Dopytywałam się, co mu dolega. A on rzucił tylko, że to choroba F63.9. Nic więcej nie chciał powiedzieć. Sprawdziłam. Znalazłam w Internecie wykaz chorób Światowej Organizacji Zdrowia. „Zaburzenia nieokreślone”. Wśród objawów: bóle głowy, wahania nastroju, bezsenność, natrętne myśli, skoki ciśnienia. Im dłużej czytałam, tym bardziej upewniałam się, że mam to samo. „Może się zaraziłam?”, pomyślałam. Dopiero następnego dnia, wyjaśnił mi, że to „zakochanie” i że ten stan oficjalnie umieszczono na liście chorób i zaburzeń.

– Teraz w mózgu wydzielają mi się hormony: dopamina, serotonina i noradrenalina. Niezła mieszanka. Nic dziwnego, że nawet ja wariuję. – Uśmiechnął się zawadiacko.

Cóż, podobne wyznania znałam dotąd tylko z romantycznych komedii, które czasami oglądałam z mamą. Może w rzeczywistości nie zawsze bywa tak różowo. W przypadku Karola przynajmniej było oryginalnie. Cały Karol. Geniusz! Siedzi z nosem w książkach, ale to nie kujon. Wiedzę zamienia w czyny. I każdy jego pomysł wydaje mi się świetny...

Wkrótce po tym wyznaniu, na znak szczególnego zaufania, Karol wtajemniczył mnie w plan pierwszej terenowej operacji ML-EKA. Pokazał informacje, które zgromadził. W tej akcji mieliśmy wziąć udział tylko my – ja i Karol. I oczywiście Rysiek. Naszym towarzyszom z ML-EKA nic nie powiedzieliśmy. Obawialiśmy się, że stchórzą albo się wygadają.

– Stacja Białystok – zatrzeszczał głos w malutkim głośniku pod sufitem.

Ryszard, który ostatni odcinek podróży spędził zwinięty w kłębek na moich kolanach, sam grzecznie wpakował się do bocznej kieszeni mojej pomarańczowej kurtki. Do złudzenia przypominała tę, którą nosił bohater *Powrotu do przyszłości*. To ulubiony film mojego taty. I mój też. „Taką nosił Marty McFly. A teraz będzie nosiła moja Marta”, powiedział tata, wręczając mi tę kurtkę. Nic lepszego nie mogłabym wybrać na tę akcję. W końcu i ja, i Marty McFly walczyliśmy o przyszłość świata.

Z dworca kolejowego na przystanek PKS było naprawdę blisko. Autobus już czekał. Około czternastej byliśmy na miejscu akcji. W Hajnówce. Nieopodal wejścia do Białowieskiego Parku Narodowego. Staliśmy przy drodze i przez chwilę żadne z nas nie potrafiło nic z siebie wydusić.

– Barbarzyńcy! – rzucił Karol.

Wielkie pnie wystawały z ziemi po obu stronach drogi, przypominając o tym, że jeszcze niedawno stały tu kilkusetletnie lipy.

Karol poznał w sieci aktywistów. Nazywali siebie Zieloną Brygadą. Prowadzili tajną grupę dyskusyjną. Jakoś ich przekonał do siebie. To od nich dowiedział się przed tygodniem o wycince lipowej alei w Hajnówce. I o tym, że mieszkańcy zapowiedzieli na dzisiaj protest. Chcieli, by zaprzestano wycinki. Karol zaproponował mi, żebyśmy dołączyli do mieszkańców. Będziemy nadawać relację na żywo w Internecie. Niech wszyscy zobaczą, jak z powodu poszerzenia drogi bezmyślnie niszczy się przyrodę.

– Każde drzewo jest na wagę złota. Kiedy klimat się zmienia i zaczyna brakować wody, drzewa są bezcenne. Oczyszczają powietrze i pomagają magazynować wilgoć. W czasie suszy las oddaje zgromadzoną wodę... – powtarzałam słowa, którymi mieliśmy rozpocząć transmisję na żywo.

Na szczęście nie wszystkie drzewa wycięto. Kilkanaście ocalało. Wszystkie jednak ponumerowano i oznaczono pomarańczową farbą, przeznaczając do wycinki w drugim etapie.

– Mieszkańcy pewnie niedługo wyjdą z domów – uspokajał Karol.

Według Zielonej Brygady wszystko miało się rozpocząć o piętnastej. Czekaając na innych uczestników protestu, Karol zaczął rozpakowywać swój plecak. Wyjął z niego transparent z hasłem: „Masz rozum? Chroń drzewa!”. Razem je wymyśliliśmy.

Z mojego plecaka wyciągnęłam rurki od starego składanego leżaka, który pamiętał czasy, kiedy moja mama chodziła do podstawówki. Nikt go już nie używał. Aż do dzisiaj. Wpadłam na to, że krótkie rurki łatwo przetransportować, a po złożeniu, dadzą się przymocować do plecaków. I stelaż na transparent gotowy. Przygotowałam też zielone naklejki dla uczestników pikiety. Kilka wieczorów spędziłam na wycinaniu ich ze specjalnego samoprzylepnego papieru, tak by przypominały kształtem liście lipy. Pisakami dorysowaliśmy na nich przekreślone siekiery.

Na koniec Karol odnalazł w bocznej kieszeni swojego plecaka zieloną pastę. Niegdyś – zanim się przeterminowała – była to pasta do butów, ale my zrobiliśmy z niej mazidło rewolucyjne. Namalowaliśmy nią na twarzach wojenne paski. To mój pomysł. Karol nie był do niego przekonany, ale uległ moim namowom. To miało dodać dramatyzmu relacjom.

Byliśmy gotowi do akcji!

– Nie pomyliliśmy godziny?! – rzuciłam niepewnie.

Minęła piętnasta, a nikt poza nami nie zjawił się, by protestować. Staliśmy w cieniu ocalałych lip jak dwa słupy soli. Nawet szczur Ryszard popiskiwał na moim ramieniu, zawiedziony biegiem wypadków. Albo raczej ich brakiem.

Po kwadransie jakiś dzieciak, który przejeżdżał na rowerze, zahamował, zawrócił i bez pytania o zgodę zaczął robić nam zdjęcia. Może nawet komuś je wysłał. Gdyby Karol mógł się ruszyć, pewnie pogoniłby młodego, ale z transparentem, którego jeden koniec był przyczepiony do mojego plecaka, a drugi do jego, trudno było ruszyć w pościg za rowerzystą.

Chwilę później z domów zaczęli wychodzić ludzie. Nasi rówieśnicy. Ale byli też starsi. Żwawo zbliżał się do nas także jakiś staruszek, wywijając laseczką niczym Charlie Chaplin. Daję słowo, poruszał się zupełnie jak ten aktor z epoki kina niemego.

– Dąbek jestem! – przedstawił się nam krótko.

Pomyślałam sobie, że to nazwisko pasuje do staruszka. Dęby to bardzo długowieczne drzewa. Jeśli nikt nie wpadnie na pomysł, by ściąć drzewo, może rosnąć nawet tysiąc lat. Pan Dąbek też miał już swoje lata, ale jego oczy były wciąż młode i radosne.

– Dzień dobry – przywitaliśmy się grzecznie, nieco zdziwieni, że wszyscy, zamiast pikietować, otoczyli nas kołem i tylko uśmiechają się życzliwie.

– Przyjechaliście na protest? – zapytał dzieciak na rowerze.

– Tak. W obronie lip – odpowiedziałam.

– To trochę lipa – rzucił malec i niektórzy roześmiali się, patrząc na nas wystrojonych do walki o aleję lip jak na wojnę.

Starszy pan podniósł jednak laseczkę i w jednej chwili wszyscy przestali się śmiać.

– To dobrze, bardzo dobrze – powiedział spokojnie pan Dąbek. – Nie wiem, skąd jesteście, ale jesteście wam bardzo wdzięczni, że przyjechaliście walczyć o nasze drzewa.

– Bo to chodzi o dobro nas wszystkich... – Karol zaczął tłumaczyć, ale przerwał, bo staruszek raz jeszcze podniósł laseczkę, która działała jak batuta dyrygenta.

– Wiemy. Nie można być obojętnym. Trzeba dbać o przyrodę. I mam dobrą wiadomość. Tę bitwę już wygraliśmy.

– Tak?! – zdziwiliśmy się.

– Nasze dzieciaki zaczęły pisać o wycince w Internecie. Zrobiło się o tym głośno nie tylko w Hajnówce. I władze uległy. Przerwano wycinkę. Te drzewa ocaleją!

– Naprawdę? – Niedowierzenie i radość wymieszała się z odrobiną zawodu. W końcu nieźle się natrudziliśmy, by przygotować się do protestu.

– Naprawdę... Ale ten transparent może wam się jeszcze przydać. Takich alei przeznaczonych do wycięcia może być w Polsce więcej. – Poklepał Karola po ramieniu i zaprosił nas na lemoniadę do baru Jabłuszko.

Dzieciaki pomogły nam spakować transparent i chwilę później rozgościliśmy się w przytulnym barze na rozdrożu. Rysiek zachowywał się jak gwiazda estrady! Dostał trochę warzyw na przekąskę i tak szalał z radości na stoliku, że niektórzy uznali, że tańczy.

– Mnie to wygląda na fokstrota – powiedział dziadek i wszyscy parsknęli śmiechem.

Miło by było spędzić tam całe popołudnie, ale tylko my wiedzieliśmy, że nie ma czasu do stracenia. Pikieta była tylko rozgrzewką. Główna część operacji zaplanowana była dopiero na wieczór.

Aha, czy już mówiłam, że tej operacji nadaliśmy kryptonim? Operacja „Rysiek”. Zaproponowałam, żeby tak ją nazwać (wiadomo na czyją część), a Karol zgodził się bez wahania, bo ten kryptonim pasował do niej znakomicie.

Żeby wszystko poszło zgodnie z planem, musieliśmy zdążyć na pekaes o szesnastej czterdzieści pięć. Zdążyliśmy. Karol śledził trasę na mapie w smartfonie. Pół godziny później poprosił, żeby kierowca zatrzymał się na najbliższym przystanku.

– Jesteście pewni, że chcecie tu wysiąść? – upewniał się kierowca.

– Jedziemy w odwiedziny do wuja. Mieszka w leśniczówce – zmyślał Karol.

Kierowca wzruszył ramionami i otworzył drzwi. Chwilę później zostaliśmy sami na asfaltowej drodze pod lasem. Jeżeli ktoś tutaj wysiadał, to albo był leśnikiem, albo wybierał się na spacer po lesie. Albo – trzecia możliwość – ktoś przyjechał tu do pracy w Białym Domu. Tak nazywano blaszany budynek, przypominający magazyn.

Mogliśmy pokonać kilkadziesiąt metrów i skręcić w lewo – w wąską, wyasfaltowaną drogę – i wkrótce bez trudu dotarlibyśmy do celu. Ale w ten sposób łatwo można było nas zauważyć. A ta operacja wymagała dyskrecji, więc lepiej, żeby nas nikt nie widział.

Dlatego wybraliśmy dziką drogę przez las. Dobrze, że Karol przygotował własny plan terenowy. Białego Domu nie było bowiem na oficjalnych mapach. Formalnie stał w wiosce, ale schowany był za zasłoną drzew. Zielona Brygada ustaliła jego położenie. Przez jakiś czas obserwowali budynek. Zebrali informacje i na tym się skończyło. „Cóż to za brygada, co nie staje do walki?!”, skwitował to kiedyś Karol.

Dzięki tym informacjom niepostrzeżenie dotarliśmy na miejsce akcji. Plecaki schowaliśmy w krzakach, a sami przykucnęliśmy za drzewami, by prowadzić obserwację.

– Kamery przemysłowe – zauważyłam.

– To podpucha – powiedział Karol. – Według Zielonej Brygady nikt ich nie używa. Nie ma też strażników. Ale żeby dostać się do środka, trzeba mieć elektroniczne przepustki.

Kiedy pierwszy raz Karol opowiadał mi o swoim pomysłe, miałam wątpliwości. Zwłaszcza że ów plan przewidywał, że trzeba będzie wkraść się do ośrodka badawczego. Wkraść się? To brzmiało trochę jak z jakiegoś kryminału.

Co działo się w Białym Domu?

Według Zielonej Brygady prowadzono tam eksperymenty na zwierzętach. Może testy kosmetyków, może jakichś leków. Karol pokazał mi wzięte z Internetu fotografie zwierząt poddawanych podobnym zabiegom. Króliki, myszy i szczury. Jeden z nich miał białe futerko wokół nosa. Zupełnie jak mój Rysiek. Ale po eksperymentalnej terapii był wychudzony i chory. To mnie przekonało.

Najpierw Karol planował zrobić relację. Nagrać, co trzeba, i pokazać światu okrucieństwo naukowców, licząc na to, że świat się obudzi i zaprzestanie eksperymentów. Ale razem uznaliśmy, że to za mało.

Trzeba uwolnić te zwierzęta!

– Niedługo dwudziesta. Za kwadrans laboranci skończą pracę – wyszeptał Karol.

Rzeczywiście. Punktualnie o tej porze w drzwiach stanął młody mężczyzna. Krótko przystrzyżona broda. Okulary w cienkich metalowych oprawkach. W ręce skórzana aktówka.

– Doktorek. Mówią, że gdyby nie te eksperymenty, to byłby z niego całkiem miły gość. – Karol rozpoznał mężczyznę dzięki zdjęciom Zielonej Brygady.

Za nim z budynku wyszła kobieta. Ją także rozpoznaliśmy. Byliśmy na jej profilu na Fejsie. Lubiała podróże, włoskie potrawy, a w domu hodowała zółwie.

Oboje wsiedli do starego golfa i odjechali.

- To Gąbka. Słabe ogniwo – wyszeptałam, kiedy w drzwiach pojawiła się trzecia postać.

To on miał być naszą przepustką albo raczej wytrychem do Białego Domu. Naukowiec znany był z roztargnienia. Spóźniał się i ciągle czegoś zapominał. W weekendy wykładał mikrobiologię na Uniwersytecie w Białymstoku. Dzięki studentom anegdota o jego roztargnieniu krążyła po sieci w formie memów niczym wirus. I to studenci nazwali swojego wykładowcę Gąbką – na cześć książkowej postaci, profesora Baltazara Gąbki, roztargnionego specjalisty od żab latających.

Kiedyś Gąbka zgubił notatnik. Znalazł go student, ale zanim oddał wykładowcy, zrobił zdjęcie ostatniej strony, na której naukowiec zanotował wierszem przepis na żabie udka.

„Żabie udka

Zamocz w mleku,

Oprószyć solą,

Smaż, człowieku...”

Przepis krążył w sieci. W prawym górnym rogu sfotografowanej kartki wykładowca zanotował jakieś cyfry. Dokładnie sześć cyfr. Tylko Karol zwrócił na ten szczegół uwagę. Czy już mówiłam, że Karol to bystrzak? Nadawałby się na detektywa. Odszukał w sieci studentów Gąbki. Chętnie opowiadali o swoim wykładowcy. Podobno Gąbka bardzo się zdenerwował, że zgubił notatnik, bo bez niego nie mógł dostać się do pracy. Ale nie chodziło o uniwersytet, a studenci nie wiedzieli, gdzie pracuje na co dzień. Karol szybko połączył fakty. „To może być kod dostępu do ośrodka”, pomyślał.

Rysiek coraz mocniej wiercił się w mojej kieszeni. Chyba czuł, że w tym budynku dzieje się coś dziwnego. Tymczasem Gąbka ruszył w stronę skutera. Długo grzebał w kieszeniach, po czym wrócił do Białego Domu. Wstukał kod, ale zamek nie zadziałał. Chyba znowu zapomniał kombinacji. Sięgnął do kieszeni po zeszyt, otworzył na ostatniej stronie...

- To pewnie ten słynny notatnik – wyszeptał Karol, zadowolony, że jego przypuszczenia właśnie się potwierdzają.

Gąbka przyjrzał się ostatniej stronie, ponownie wbił kod i tym razem drzwi otworzyły się bez kłopotu. Wszedł do budynku dosłownie na chwilę i niedługo już na dobre opuścił Biały Dom, trzymając w ręce kluczyki od skutera.

– No to ośrodek jest nasz! – zaśmiał się Karol, kiedy Gąbka odpalił pojazd i odjechał.

Oboje byliśmy przekonani, że wszyscy pracownicy już wyszli. Dla pewności odczekaliśmy jeszcze chwilę i dopiero gdy już się ściemniło, ostrożnie zbliżyliśmy się do drzwi. Nikt nam w tym nie przeszkodził. Karol przyłożył dłoń do panelu i zaczął z pamięci wybierać cyfry. Elektryczny zamek zabrzączał. Pociągnęłam za klamkę i chwilę później byliśmy w środku.

Ciemno. Karol miał już przygotowaną latarkę. Szliśmy wąskim korytarzem, oświetlając sobie nią drogę. Zbliżaliśmy się do kraty, zza której dobiegały nas popiskiwanie. Rysiek wydostał się z mojej kieszeni, wbiegł mi na ramię, rozejrzał się, po czym ześlizgnął się na podłogę.

– Poczekaj! – zawołałam, ale szczur nie posłuchał.

Bez trudu przedostał się przez ażurową kratę, ale i nas ta kratka nie mogła zatrzymać. Kłódka była niedomknięta. To pewnie sprawka roztargnionego Gąbki.

Całą halę wypełniały stojaki, a na nich piętrzyły się klatki dla zwierząt, pełne królików, myszy, szczurów i nie wiem jakich zwierząt jeszcze. Piszczwały rozpaczliwie. Wydawało mi się, że błagają nas o wolność. Na dodatek Rysiek wrócił do mnie, wskoczył mi na ramię i też zaczął popiskiwać do ucha. Jakby prosił o to, by oswobodzić te zwierzęta. Był przerażony!

Wyglądało na to, że moje przypuszczenia się potwierdzały. Możliwe, że Rysiek był już w miejscu podobnym do tego. Przy adopcji pracownicy fundacji nie powiedzieli mi o nim wiele. Zapewnili tylko, że zbadał go weterynarz i jest zdrowy. Na stronie fundacji przeczytałam jednak, że część podopiecznych fundacji pochodzi z laboratoriów. Wielu zwierzętom udaje się przetrwać eksperymenty bez szwanku dla zdrowia. Niektórym tylko pobiera się próbki materiału genetycznego lub krwi. Ale wkrótce po badaniach i tak wszystkie zwierzęta laboratoryjne – czy to zdrowe, czy chore – czeka ten sam smutny los. Śmierć. Chyba że zaopiekuje się nimi jakaś fundacja, a potem ktoś taki jak ja.

– Oczywiście, Rysiu. Pomożemy im! – wyszeptałam. – Przecież właśnie po to tu jesteśmy.

Rzuciliśmy się z Karolem do otwierania klatek.

Najczęściej wystarczyło poluzować zasuwę, a zaskoczone zwierzęta wyskakiwały i dawały nura na podłogę. Niektóre jednak były tak oszołomione, że chowały się w najdalszych zakątkach klatek i próbowały gryźć, gdy chcieliśmy je wyciągnąć. Były i takie, które widziały w nas swoich oprawców i od razu atakowały.

– Aua! – krzyknął Karol, gdy jakiś zabiedzony szczur rzucił się na niego i podrapał w ramię.

Chwilę później inne zwierzę skoczyło mu na plecy.

– Wycofujemy się! – zdecydował Karol.

Nie było to jednak łatwe zadanie. Staliśmy w rzece zdezorientowanych stworzeń, które zajmowały praktycznie całą podłogę.

– Stać! Nie ruszać się! – usłyszeliśmy głos i zatrząskiwanie kraty.

Ktoś odciął nam drogę ucieczki. Po chwili pod sufitem zabuczały jarzeniówki, a za kratą zobaczyliśmy strażnika, o którym wywiad Zielonej Brygady najwyraźniej nie wiedział.

* * *

Karol trafił do szpitala. Kilka ugryzień i zadrapań wystraszonych szczurów. Niby nic wielkiego, ale zwierzęta mogły być chore. Mnie nic się nie stało. Rysiek też ocalał, choć od tamtego czasu jakoś posmutniał.

A zwierzęta, które chcieliśmy uratować? Wiele z nich wpadło w panikę i przypadkiem zrobiło sobie krzywdę. Niektóre rzuciły się na siebie i... Ech, szkoda słów.

Kiedy opatrywano Karola, ja zeznawałam na posterunku. Rozumiecie? Dziewczyna z czerwonym paskiem, przewodnicząca klasy, zwyciężczyni olimpiady przyrodniczej. Wierzyłam, że jestem mądrzejsza od innych, chciałam ratować planetę, chronić przyrodę i dbać o zwierzęta. Dlatego ratowanie zwierząt z laboratorium było dla mnie tak oczywiste...

Wkrótce na posterunek przywieziono także Karola. To najbystrzejszy chłopak, jakiego znam. Chodząca encyklopedia. Wiedział, gdzie szukać informacji, z kim rozmawiać.

Byliśmy tacy mądrzy, tacy bystrzy. A jednak coś poszło nie tak. Właściwie wszystko...

Dopiero teraz wiem, że mieliśmy dobrą wolę i chcieliśmy zmieniać świat na lepsze, ale zawiódł nas zdrowy rozsądek. Nie pomyśleliśmy, co stanie się ze zwierzętami, kiedy opuszczą klatki. Przecież nie znały innego życia i nie miały dokąd pójść. Zaskoczone i spłoszone, nie wiedziały, czy uciekać, czy walczyć z nami i ze sobą nawzajem. Na wolności – zwłaszcza te słabsze – musiały zginąć. Jeśli były chore, mogły zakazić inne zwierzęta w lesie.

Mama już do mnie jedzie. Najpierw trochę się na mnie pozłości. A potem powie, że ją zawiodłam. Zapewne użyje swojego ulubionego powiedzenia: „Taka mądra dziewczyna, ale zabrakło refleksji”. I będzie miała rację.

Doda też pewnie, że powinniśmy rozmawiać nie tylko z Zieloną Brygadą – ludźmi, których ledwo co znaleźmy z sieci. Gdybyśmy spytali pana Kulawika, czyli naszego Kulawego od biologii, moglibyśmy spojrzeć na wszystko z innej perspektywy. Może usłyszelibyśmy, że w Białym Domu nie testuje się kosmetyków. Bada się tam leki, choćby na grypę i inne wirusy, starając się jak najmniej szkodzić zwierzętom i jak najszybciej pomóc ludziom. Czy to usprawiedliwia testy na zwierzętach? Pewnie długo mogłabym dyskutować z mamą na ten temat. Ale bez posłuchania głosu drugiej strony, trudno odróżnić to, co naprawdę służy dobru, a co nie.

Nie wiem, czy mama kiedyś zrozumie, że nie wystarczy tylko gadać i martwić się, a trzeba działać, by zmieniać świat na lepsze. Ale po tym wszystkim sama zaczynam rozumieć, że nie wystarczy tylko działać. Trzeba najpierw przemyśleć możliwe konsekwencje...

I wiecie co? Właśnie tego zabrakło.

Nieważne, jaka spotka nas teraz kara. Trudno, zasłużyliśmy. Jednak wiem, że nie będę już tą samą Martą, co wcześniej... Ja to nazywam doświadczeniem. Bez niego chyba nikt nie jest naprawdę mądry.

Pogłaskałam Ryśka po łebku. Zmrużył rozespane oczy i pisnął cichutko.

– Śpij, Rysiu, śpij. To był naprawdę ważny dzień.